TOW·DOR·POM·LEK·

Jednodniówka

POGOTOWIA RATUNKOWEGO

19 $\frac{19}{IX}$ 08

WARSZAWA.
Druk Piotra Ambroziewicza, Warecka 5.
1908.



Skład **towarów żelaznych, narzędzi,** artykułów rolniczych, oraz **naczyń** i przyborów **kuchennych**

KRZYSZTOF BRUN i SYN

w Warszawie, Plac Teatralny.

Firma egzystuje od roku 1895.

TOMASZ ZANIEWICKI

WARSZAWA,

Senatorska 19. Tel. 13-89

Hurtowy skład win

WYŁĄCZNA SPRZEDAŻ:

WIN południowego **Krymu** z winnic majątku **„Martjan"** (Jałta)

WIN Stowarzyszenia właścicieli winnic na **Czarnomorskiem wybrzeżu Kaukazu** (Noworossyjsk.).

COGNAC firmy Otard-Dupuy & C-o, jednej z największych w Cognac, egzystującej od roku 1795 (Kapitał zakładowy 7.500.000 franków).

P. S. Wina Stowarzyszenia są bezwarunkowo czyste, naturalne **„de vite"** i jako takie zdatne do użytku kościelnego; na żądanie dołącza sią poświadczenie Proboszcza rzymsko-katolickiej parafii Noworosyjskiej

WINO:

Bordoskie
Burgundzkie
Bessarabskie
Hiszpańskie
Kaukaskie
Krymskie
Portugalskie
Reńskie
Szampańskie
Włoskie
Węgierskie

COGNAC, LIKIERY
RUMY
PORTER ANGIELSKI.

G. RADKE

WYROBY SREBRNE

Skład fabryczny: **Wierzbowa № 7.** Telefonu № 76-75.
Fabryka: **Długa № 48.** Telefonu № 83-76.

Egzystuje od 1832 roku.

---

od 80-ciu lat istniejąca

FABRYKA WYROBÓW PLATEROWANYCH

i na Nowem Srebrze galwanicznie srebrzonych, oraz

WYROBÓW SREBRNYCH 84-ej PRÓBY

JÓZEFA FRAGET

w WARSZAWIE.

Fabryka mieści się w zabudowaniach własnych przy ul. Elektoralnej № 753/16.

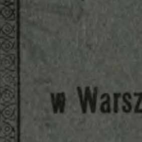
Magazyny fabryczne własne znajdują się:

w Warszawie, przy ul. Wierzbowej № 8, w domu dochodowym Teatrów Warszawskich i przy ul. Nalewki № 16.

w St.-Petersburgu na Newskim Prospekcie, w domu kościoła Ś-go Piotra i Pawła
w Moskwie, na Kuźnieckim moście, w domu Zacharina.
w Charkowie, na Uniwersyteckiej ulicy, w domu W-go Paszczenko-Triapkina.
w Odesie, na Derybasowskiej ulicy, w domu W-go Sepicza.
w Tyflisie na Dworcowej ulicy, w domu W-go Łałajewa.
w Kijowie, na Kreszczatiku, w domu W-go Dechtierewa.
w Mińsku gub., na Zacharjewskiej ulicy.
w Łodzi, na Piotrkowskiej ulicy № 69.

KOLEJKI WĄZKOTOROWE

POLECAJĄ:

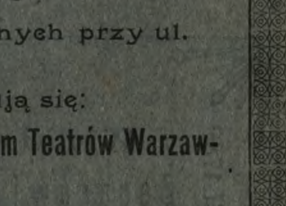


Tow. Akc.

„Artur Koppel"

Tow. Akc.

„Parowóz"



WARSZAWA, Królewska № 39.

Znaczne zapasy na składzie.

BIEDA.

Idzie sobie babuleńka,
To zapłacze to zastęka,
To jęk z piersi wyda.
Zebrała się wnet gromada
„Ktoś ty babciu? Każdy bada
A ta rzecze: „Bieda“.

„Ledwie wlokę starę kroki —
„Bom ci przeszła świat szeroki
„Niemców i francuzów!
„Niegościnne te psiewiary
„Jeść nie dały babci starej,
„Jeno sporo guzów!

„A gdy proszę zmiłowania —
„Każdy srogą pięść odsłania—
„Gna precz ze swych szlaków
„Więc przez chłosty i ulewy,
„Przywlekłam się, moiściewy,
„Do braci — Polaków.

Inszy ludek w tej krainie
Ulitował się babinie
I nie wyszczuł psami.
„Naści stara, kiej cię boli —
Plastr na guzy, chleba, soli
I pozostań z nami“.



Zamieszkała więc babula
I po miastach hula, hula,
Lub nawiedza kmiotka,
Z grzbietu zdziera mu koszulę
Alpo po łbie i szkatule
Grzmoci, kogo spotka.

Zgniewała się rzesza zbita:
„Idź precz wiedźmo, łez nie syta,
Do innego kraju!“
Zaśmiała się w odpowiedzi —
Oni krzyczą — ona siedzi:
— „Kiej mi tu jak—w raju!

„Dobrzy ludzie tu się rodzą:
„Wszyscy wzajem sobie szkodzą!
„Mazgaj przy mazgaju.
„Polubiłam polską grzędę
„I tu sobie mieszkać będę,
„Jak w raju, jak w raju!“

Tak ci mówi — oni w skargi
Potem w radę, potem w targi,
Aż się łeb zapoci —
Drą się, drą się, — a babula
Jak hulała, tak se hula
I Polaków grzmoci!

Arg.

Perpetuum mobile.

(Z komedyi życia).

...Spóźniła się na próbę, spieszyła więc bardzo. To też nie zwróciła prawie uwagi na list, który przy wyjściu oddała jej służąca. Teraz dopiero, powróciwszy do domu, przypomniała sobie ten cudacznie złożony czworobok z żółtawej szarpanej bibuły i wydobyła go z torebki.

Poznała pismo Władka. Nie potrafiłaby wytłumaczyć, dla czego uczuła pewien niepokój, — przez dwa lata otrzymywała przecie od niego tyle listów. Nerwowym ruchem szarpnęła kopertę i wydobyła zapisany ze wszech stron arkusik papieru.

Gdy czytała list, cała gama uczuć przebiegła po jej twarzy: niepokój, obrażona duma, wstręt następowały szybko po sobie. Podniecała się czytając. Nie przyzwyczajone do cuglów nerwy, brały na kieł i rozszalały na dobre.

— Niegodziwiec! — krzyknęła cisnąwszy list i porwała się z otomany. Ach, co za ohydny, trywialnie głupi i podły list. Więc i ten podobny do wszystkich. On — Władek, taki zdawało się inny, taki bardzo inny, różniący się od otaczającego tłumu, porywający swą oryginalnością, swymi zuchwałymi i zawsze nowymi poglądami na życie i sztukę — i ten jest najzwyczajniejszym do obrzydliwości banalnym kabotynem.

Zwyczajny kołtun mieszczański i do tego tchórz! Nie odważył się nawet przyjść i powiedzieć, iż zrywa z nią. Bał się sceny, obawiał się wybuchu histeryczki. Przedwczoraj był tu i nic nie wspomniał, a dziś napisał list...

I ten list, ten list! Taki płytki, tak mieszczańsko przyzwoity. Musi już pomyśleć o sobie, dobiega trzydziestki. Matka żąda, aby się ożenił. Tak czas, wielki czas ustatkować się i stać się „porządnym człowiekiem". Mamusia ma racyę: należy pomyśleć o przyzwoitym ożenku, no i naturalnie o posagu. Pojąć dobrze wychowaną, i nieposzlakowanej reputacyi pannę „z dobrego domu".

Będzie oszukiwał żonę, ale teraz już pokryjomu, za szczelnie zamkniętemi drzwiami separatek. Tymczasem zaś zapewni papę — „szanownego obywatela naszego miasta", że młode piwo już wyszumiało i z przeszłością skończono na zawsze. A tej gąsce przysięga, iż teraz dopiero poznał, co to jest prawdziwa miłość i że ją pierwszą kocha naprawdę.

Cha, cha, cha! A więc to, co działo się tu przez dwa lata, to nie była prawdziwa miłość? Kłamie! Stokrotnie kłamie! O, mogłaby tej naiwnej gąsce opowiedzieć coś o tem...

I poczuła, że na samo wspomnienie dni minionych przejmuje ją dreszcz rozkoszy.

Ale dla czego ją tak to boli? Czy on pierwszy? Miała przecie już takich wypadków w swem życiu więcej. Najczęściej sama zrywała stosunki, czasem kochanek ją opuszczał, aby za kilka miesięcy ślubować przed ołtarzem legalną miłość pannie „z dobrego domu". Przyjmowała to niemal obojetnie. Skąd dziś ta różnica?

— Bo ten był inny — pomyślała.

W tej właśnie chwili stanęła przed wielkim lustrem i spojrzała na siebie. Zaczęła przyglądać się uważnie. Z wielkiej tafli szklanej patrzyła na nią twarz czterdziestoletniej kobiety, — twarz jeszcze powabna, lecz mocno już szarpnięta zębem czasu. Zdradzieckie siateczki na skroniach i koło ust, zaczynająca więdnąć mimo używania najlepszych kosmetyków paryskich cera, zrobiły na nią niespodzianie mocne wrażenie. Jakby po raz pierwszy ujrzała tę twarz, którą po kilka razy codziennie oglądała w lustrze.

Podniecenie i gniew opuściły ją nagle. Poczuła się zupełnie wyczerpaną, usiadła na fotelu i poddała się biernie ogarniającej ją apatyi. Zrozumiała.

— Boisz się — pomyślała. Zlękłaś się, jakbyś zobaczyła upiora.

Tak. Wtenczas była młodsza. A teraz... Teraz boi się, iż był to ostatni... Gotowa jest pochwycić go ostatnim wysiłkiem i nie puścić. Gotowa jest uczynić ofiarę ze swej godności, poniżać się i błagać, aby jej nie opuszczał i nie odchodził... Bo gdy odejdzie,—pozostanie pustka nazawsze, której już nic nie zapełni.

A więc to starość.

Była odważną i nie okłamywała siebie nigdy. Teraz jednak nie odważyła się wymówić tego słowa nawet w myśli. Nie, nie, nie! Wszystko, byle nie starość! Śmierci obawiałaby się znacznie mniej.

Żywo uprzytomniła sobie obrazy starszych koleżanek, które na jej oczach po latach podbojów i tryumfu musiały wycofać się ze szranek. I porwał ją lęk szalony. Za nic! Za nic w świecie! Lepiej raz skończyć...

Wpadła w zadumę. Ogarniała ją jakaś głęboka rezygnacya. W okolicy serca czuła chłód i pustkę...

Obudziła ją z tego stanu służąca, stając przed nią z biletem wizytowym w ręku.

Spojrzała na kartę i zaśmiała się nerwowo.

— Ach, – naiwny Adaś. Dobrze, dobrze. Prosić natychmiast!

I gdy służąca wyszła do przedpokoju, przejrzała się naprędce w lustrze, poprawiła loki nad czołem i usiadła na otomanie w kokieteryjnej pozie, filuternie uśmiechnięta.

Do pokoju wchodził elegancki młodzian z wiązanką kwiatów w ręku.

Wł. Lewiecki



POŻEGNANIE.

Tyś jeszcze płonęła wiosennych czuć zniczem,
Jam zgasał ostatnią już skrą —
Nęciłaś mnie dumnem, spokojnem obliczem
I takim uśmieszkiem ze łzą.

Daremne rojenia — bo zwisł nam nad głowy
Odwiecznych przeznaczeń los zły
I skończył się cudny nasz romans trzydniowy—
My śmiechem pokryliśmy łzy...

Dziś każde z osobna z spokojnem obliczem
Na zawsze odchodzi w dal swą
I wszystko tu dla nas skończyło się niczem
I takim uśmieszkiem ze łzą.

Mieczysław Srokowski

CISZA.

Konał. Zbliżała się oddawna oczekiwana chwila, której tak bardzo pragnął; a jednak im bliżej był celu, tem większy niepokój go ogarniał.

On pragnął tylko ciszy niezmąconej niczem.

Po raz pierwszy zaczął z całą szczerością badać sumienie swoje, roztrząsać grzechy niedługiego choć burzliwego życia.

Wszystkie napotykane postaci stanęły mu w myśli. I nagle poczuł jakby na sobie czyjeś wejrzenie palące.

Czarne oczy przysłonięte długą rzęsą ogarnęły go smutnem spojrzeniem...

. . . .

Przestać cierpieć, pajęczą nić życia snuć... nic nie czuć, spokojnie spoczywać na wieki — czy to nie szczęście?

Cisza niezmącona niczem...

A przedśmiertna chwila?

Czy to nie pożegnanie nocy pochmurnej, bez gwiazd, do której się tylko przywykło i przywiązało, jako do towarzyszki wspólnej niedoli — aby powitać piękny, pełen słońca dzień...

Chyba ostatnia chwila nie jest piekłem dla duszy, męczarnią najsroższą ciała, nie jest tem złem, przed którem taki lęk ogarnia?

Jeżeli się nie skrzywdziło nikogo?..

Leon Reinschmidt

Z wędrówek lokatora.

Niebieska karta na bramie. Ogromnie nieczytelnie wypisana, widocznie przez najmłodszego syna pana rządcy, długa lista ubikacji z ich domniemanem przeznaczeniem trzypokojowego mieszkania.

Strudzony całodziennem dreptaniem po tysiącznych schodach, ostatkiem sił przebywam mocno nadwyrężone zębem czasu „bruki ulepszone“ i z ukojeniem przypadam do karty. Jednocześnie z innej strony zjawia się taki sam drugi nieborak — szukający mieszkania. Widzę — konkurent — źle! Nadrabiam jak mogę miną i kłamię najbezczelniej:

— Szanowny pan za mieszkaniem? Szkoda, właśnie przed chwilą zadatkowałem. Ale niema pan dobrodziej czego żałować: mieszkanie wilgotne, w domu trzynaście fortepianów, osiemnaście gramofonów, czterdzieści trzy koty, zdaje się nawet, że jakaś epidemijka...

Byłbym zupełnie odstraszył konkurenta — gdyby nie filuterny stróż domu wtrącił tubalnym basem:

— Co tam zawracać kontramarę! Mieszkania nikt nie zadatkował i można je obejrzeć.

Konkurent spojrzał na mnie strasznym wzrokiem i nic nie powiedziawszy przekroczył próg bramy. Cóż było robić? Z rezygnacją podreptałem dalej.

O kilka domów znów na bramie niebieska klapsydra, niezwykle pięknie wykaligrafowana obwieszczała światu, iż na „III-em piętrze lokal złożony z czech pokoi jest od zaras“. Lawirując umiejętnie pomiędzy dwoma trzepaczkami, z zawziętością godną lepszej sprawy, młócącemi w bramie jakiś potężny dywan, dostałem się do izdebki stróża.

Stróż bardzo nieufnym wzrokiem obejrzał mą skromną postać:

— No, jest lokal na trzeciem piętrze, niech tam pan pójdzie i obejrzy. Ochota mi po piętrach chodzić. Niech pan pójdzie, pokażą sami.

Po tak nietowarzyskiem zachowaniu się stróża sam zacząłem się wspinać po spiczastych i krętych schodkach. W duszy błogosławiłem ćwiczenia gimnastyczne za młodych lat, odbywane na płocie sąsiada-ogrodnika. Ułatwiło to mi dostanie się do trzeciego piętra. Delikatnie pociągnąłem za dzwonek — cisza. Pociągam mocniej, przeraźliwy odgłos dzwonka i towarzyszące mu ujadanie przynajmniej z pół tuzina psich gardziołek.

Drzwi roztwierają się z rozmachem.

— Ach...

— Och..

Jakaś strasznie wydekoltowana od góry i od dołu tęga dama robi ruch rękoma, jakby chciała niemi zastąpić wiele brakujących części garderoby i... drzwi zamykają się z trzaskiem. Rozpoczyna się djalog przez grube deski drzwi. Dama widocznie nie dosłyszy, więc muszę krzyczeć ile sił.

— Pan czego?

— Mieszkanie chciałem obejrzeć, podobno jest do wynajęcia?

— Jest, ale nie teraz się ogląda. Od czwartej do piątej.

— Ależ pani...

— Żadne ale, co pan tu nachodzi mi dom, ja policji zawołam...

Na szczęście, na bramie sąsiedniego domu — niebieska płachta.

Stróż niezwykle uprzejmy. Z fantazją prowadzi mię do celu, nie żałując słów uznania dla omawianego lokalu.

— „Słońcowe", piękne pokoiki co się patrzy. Teraźniejszy lokator do śmierciby siedział, tylko gospodarz nie chce go trzymać, bo okrutny awanturnik.—Jakby na potwierdzenie słów mego cicerona im bliżej dochodziliśmy do celu, tem wyraźniej słychać było jakiś tupot, gwizdanie, poszczekiwanie i tysiące innych niezrozumiałych odgłosów. Docieramy do drzwi. Stróż odważnie dzwoni.

Co się potem działo—niewiem. Zdawało mi się tylko, że olbrzymia pięść jakiegoś potężnego bruneta, który otworzył drzwi dotknęła piersi stróża, ten zaś odskoczył w tył, spychając mnie po schodach. Z szybkością niesłychaną odbywałem podróż powrotną — głową na dół.

Ocknąłem się w karetce Pogotowia.

— Gdzie mię doktór wiezie?

— Do szpitala Dzieciątka Jezus...

— Nareszcie znalazłem lokal — przemknęło mi przez głowę i, zapominając o bólu w całem ciele zasnąłem snem sprawiedliwego...

Zygmunt Trzebiński

POWRÓT MAMY.

Wstańcie o dziatki ubierzcie się same,
Włóżcie kalosze na nogę —
Rozbudźcie stróża, niech otworzy bramę,
Dłużej wytrzymać nie mogę!

✳

Mama nie wraca choć oniemal świta,
Truchleję z trwogi i żalu,
Może po drodze napadł ją bandyta,
Albo zasłabła na balu!

✳

Słysząc to dziatki, ubrały się same,
To płacze, drugie rozpacza...
Stróż rozbudzony wnet otworzył bramę
I wziął od papy dychacza.

✳

Z ciężkiem westchnieniem i troską u czoła
Ruszyli wszyscy ku miastu...
Idą... aż patrol obskoczy dokoła:
Starszy, piechurów dwunastu!

Krzyknęły dziatki do ojca przypadły
Tulą się pod płaszcz do kortu —
Struchlał i ojciec, ręce mu opadły,
Zapomniał z sobą paszportu!

✳

Próżno tłumaczy o balu o żonie,
Po co wyruszył do miasta...
Groźne wejrzenie zaciśnięte dłonie...
— Stupaj w uczastok! — i basta.

✳

Nic nie pomaga! prośby ni namowy
Ni łzy w dziecięcej źrenicy...
Nagle... „A s t a w t i e"—krzyknął rewirowy
I spędza patrol z ulicy.

✳

Tata dziękuje... A „starszy" wzruszony
Odrzecze w tonie pogróżki:
— Nie dziękuj panie! Ja wiem, co to żony!
I moja chodzi na „krużki".

Wracaj do domu... Mnie do „c z a s t i n a d a
W s i e m c z a s o w u t r a z r a p o r t o m...
Ale raz drugi niech pan n i e p o p a d a!
I zawsze chodzi z p a s p o r t o m!

El.

BRONCE.

WSPOMNIENIE.

W jesienną chłodną noc, owianą
zapachem rżysk zwietrzałych,
łubinów kwitnących,
zabłąkanymi dymami pastuszych ognisk —
na ganku siedzę zadumany
i patrzę
w gęstwinę boru, co mię murem
czarnym od świata trosk odgrodził,
od zgiełku ludzi
i cichym szumem swej gęstwiny,
mistycznym szmerem leśnych baśni
do snu kołysze,
a w sercu piekło tęsknot budzi.

Nad ścianą czarną księżyc płonie
po jasnem morzu chmur skłębionych,
srebrzyste smugi w lasu ciemnię
rzuca, jasnemi płaty
znacząc wierzchołki jodeł smukłych,
co jak strażnice
nad ścianą boru dumnie stoją
i bór im ciche dumy nuci...

W księżyca srebro zapatrzony
zmęczonym myślom puszczam wodze
i śnię na jawie to, co w sercu
poszumy lasu porozsiały,
tęsknotę budząc w niem uśpioną
za tem co było... i nie wróci...

. . . .

Pamiętam Ciebie... W tę noc wspomnień pełną
Przychodzisz do mnie jak dawniej dziewicza,
Jak dawniej moja .. i oderwać oczu
Nie chcę... nie mogę od Twego oblicza,
Choć wiem, żeś złuda, choć stoisz przedemną
Jak mara, zwiewna w powietrza przezroczu.

Pamiętam Ciebie... choć dni zbiegło wiele
Nie przeszedł jeden bez myśli o Tobie,
Nie przeszedł jeden bez piekła męczarni,
Że Twe wspomnienie o mnie legło w grobie,
Że inny włada w Twych myśli kościele,
Że inny... inny w ramiona Cię garnie.

Pamiętam Ciebie... Przychodzisz dziś do mnie,
By mi powiedzieć, żem zgrzeszył myślami,
Myśląc, iż inny jest duszą Twej duszy —
Mówisz, że miłość nasza wciąż jest z nami,
Żem w Twe wspomnienie wrył się wiekopomnie,
Ze nawet śmierć już tych węzłów nie skruszy.

Mówisz: pamiętam i tęsknię i pragnę!
I kładziesz dłoń swą na mą biedną głowę...
I widzę dawnych dni obraz na jawie...
Zewsząd otoczą mnie wonie majowe,
I gdy za głosem serca myśli nagnę,
Widzę Twój domek w starych olch oprawie.

Z kościola zdala dolatują dzwony...
Słońce w czerwieni gdzieś za lasem ginie...
Jak zlote olchy ponad wodą stoją
I kryją mostek, zaszyty w gęstwinie,
Gdziem Cię w ramiona brał rozpłomienioną,
Wśród pieszczot zowiąc moją... moją... moją...

. . . .

W księżyca srebro zapatrzony
zmęczonym myślom puszczam wodze
i śnię na jawie to, co w sercu
poszumy lasu porozsiały,
tęsknotę budząc w niem uśpioną
za tem, co było i... nie wróci.

Jan Smotrycki

PRZEDBÓRZ
19 8/IX 08

Mój utwór dramatyczny.

Wrzawa, wywołana w prasie i wśród szerokiego ogółu publiczności, z przyczyny napisanego przezemnie dramatu p. t. „Pasterka z Villa Nuova“ wymaga i z mojej strony niektórych wyjaśnień.

Przedewszystkiem muszę zapewnić tych wszystkich, którzy zajmują się moim losem, iż 1) kłamstwem jest, jakoby do napisania dramatu podmówili mnie ludzie dybiący na moje życie; sztukę tę stworzyłem z własnego popędu i następstwa wynikły z mojej własnej winy; 2) nieprawdą jest, jakobym dla studyów nad sztuką, opartą na zwyczajach życia włoskiego, umyślnie wyjeżdżał do Włoch. Nie byłem tam nigdy jako żywo, a wiele szczegółów etnograficznych do niej czerpałem z powieści napisanej przez autora, który zwyczajem u nas panującym, również stworzył ją w Warszawie, zkąd nigdy się nie wydalał; 3) jestem też zmuszony zaprotestować, jakoby sztuka ta miała zupełnie i na zawsze zwichnąć moje życie. Straciłem co prawda z jej powodu majątek, stanowisko, zdrowie i kredyt moralny u swoich rodaków — lecz po nadto nic mi się nie stało.

Przed kilku laty jako właściciel włości i domów w Warszawie, czczony i kochany przez wszystkich, napisałem dramat i byłem tyle rozważny, że nie chcąc powodować się ani ambicyą i pychą zwołałem sąd literatów-przyjaciół z prośbą o ocenę sztuki.

Do wydania sądu przystąpili wszyscy moi przyjaciele z prasy mianowicie: pewien sprawozdawca giełdowy, kasjer administracji wielkiego dziennika, reporter działu sportowego, oraz znany ogółowi redaktor działu szarad i logogryfów.

Opinja tych panów, nie powiem aby była jednozgodną: jedni radzili abym dramat mój polecił przełożyć na język francuzki i postarał się o wystawienie w „Comedie française“, inni aby dodać podkład muzyczny dla przerobienia na operetkę, inni zaś jeszcze przy czytaniu powtarzali co chwila „brawo!“ i ograniczali się na zapełnianiu pokoju dymem z moich cygar.

Zapomniałem nadmienić, że do towarzystwa należał również pewien aktor, człowiek uczciwy, zdolny i skromny do tego stopnia, że nigdy inaczej nie występuje jak w roli „jednego z ludu“ i to pod pseudonimem trzech gwiazdek: ****

Gdy już wszyscy sędziowie rozeszli się po ostatniem czytaniu, artysta dramatyczny pozostał, wciągnął w siebie dym z połowy cygara, wypuścił ten dym na moje firanki, wypił trzy czy cztery kieliszki mojego koniaku, usiadł na moim pluszowym fotelu i zwrócił się z zapytaniem:

— Czy to pan rzeczywiście tę sztukę napisałeś?

— Ja, oczywiście odparłem i poleciłem jednocześnie otworzyć lufcik.

— Co pana skłoniło do napisania tej sztuki?

— Natchnienie, rozumie się — odrzekłem.

Artysta dolał sobie koniaku poczem wziął z mego biurka błękitny ołówek.

— Muszę tu zrobić pewne drobne poprawki — rzekł poczem zaczął ołówkiem wydawać chrzęst podobny do sprawianego przy piłowaniu drzewa.

Chrzęst pochodził z nadzwyczaj szybkiego przekreślania przez artystę stronnic mojego manuskryptu.

W ciągu kwandransa, nie dając mi wyjść z osłupienia, wykreślił wszystko. Źle mówię: pozostawił półtora wiersza, a gdy ukończył odezwał się tonem zadowolenia wewnętrznego:

— Sztuka posiada wprawdzie braki, lecz ocaliłem jeden aforyzm, który możesz pan zużytkować w jakim albumie lub jednodniówce.

Krew napłynęła mi do głowy. Popchnąłem go; wypadł oknem i w chwilę na chodniku leżały jego zmiażdżone zwłoki.

Znane są wszystkim następstwa mojej porywczości, a więc powtarzać ich tu nie będę. To tylko zaznaczę, że w powrocie do miasta postanowiłem ocalić zachwianą moją sytuację majątkową i sztukę, bądź co bądź wystawić na scenie.

Łatwiej było jednak zamierzyć niż wykonać, wszyscy reżyserowie teatralni nie wiem, czy z powodu różnorodności zdań w sprawach społecznych czy też z innych, porozumieli się pomiędzy sobą, aby sztuki mojej na scenę nie dopuścić. Co więcej, żaden z nich nie chciał mi pozwolić na przeczytanie sztuki, i skoro się tylko ukazałem w jego gabinecie, nasamprzód mrugał jakoś dziwnie na woźnego, następnie przemawiał do mnie tonem ojca, który pragnie poskromić kaprysy rozpieszczonego dziecka.

— „Pasterka z Villa Nuova“, wiem, wiem, lecz nie otwieraj pan okna.

I po chwili dodawał tonem głębokiego zadowolenia.

— Ach prawda, mój gabinet znajduje się na parterze.

Straciwszy nadzieję wystawienia dramatu w mieście, wziąłem się do zabiegów około pozyskania dyrektorow prowincjonalnyeh. Z nimi była sprawa znacznie gorsza. Są to cynicy, ludzie nie dotrzymujący słowa, drwiący wprost w oczy, słowem ludzie, z którymi bardzo trudno dojść do porozumienia.

Poznajomiłem się z trzecim amantem pewnej trupy: przy kolacji (czy mam dodawać, że nie on za nią płacił?) obiecał mi, że sztukę w domu uważnie przeczyta i że wystara się, aby ją wystawiono.

Tej nocy spałem spokojnie, lecz nazajutrz w pewnym dzienniku wyczytałem umieszczony w całości przedruk anakreontyku wygłaszanego w scenie kulminacyjnej przez mego bohatera. Anakreontyk zaczynał się od słów:

Mi dzban dajcie się napiję
I chybabym nie był żyw,
By nie gasić smutków żmije
Czarującym płynem piw.

I kończył się słowami:

Któż bo służba ośmiela się
Gdy pić chcę odmawia mi?
Młodym ja i giętki w pasie,
Służbo cisnę cię za drzwi.

Mniejsza, że mój przyjaciel amant za utwór ten pobrał w redakcji honorarjum, lecz pocóż pod tym wyjątkiem podpisał moje nazwisko.

Cała prasa ryknęła nie żałując mi takich epitetów jak: blagier, plagiator, przywłaszczyciel, a nawet jeden nazwał mnie „doliniarzem literackim". Napróżno tłomaczyłem redakcyom, że anakreontyku, zapożyczonego z poematu (nagrodzonego na konkursie) nie podawałem za własny, że zaciagania pożyczek tego rodzaju są przez dramatopisarzy w zwyczaju i wreszcie, że nie ja wziąłem za przedruk zapłatę.

Pewien dziennik napisał: „jaka szkoda, że autor „Pasterki z Villa Nuova" niema najelementarniejszych zasad szanowania tekstu siódmego przykazania. Jego sztuka, acz wogóle idjotyczna i w szczegółach jeszcze gorsza, posiada niektóre atomy podatne do przerobienia i zużytkowania w prasie".

Straciwszy nadzieję ujrzenia dramatu w teatrze zamarzyłem o zobaczeniu go przynajmniej w druku, udałem się przeto do redaktora, który tak przychylnie wyraził się o mojem dziele.

Zastałem go przyciśniętego do muru. Jakiś krwisty jegomość jedną ręka przytrzymywał go za ramię, wskazującym palcem drugiej wodził mu tuż przed nosem, przyczem naśladował ryki lwa i domagał się jakiegoś sprostowania. Po odejściu interesanta redaktor poprosił, abym usiadł i rzekł:

Rzeczywiście, gdy opowiadano mi treść pańskiej „Pasterki z Villa Nuova", przyszło mi na myśl, że pewien szczegół po pewnem skondensowaniu dałby się w moim dzienniku umieścić. Jeżeli się pan zdecydujesz i zaufasz mi tę *drobną przeróbkę*...

Oczywiście przystałem na wszystko, widząc w redaktorze mego literackiego ojca chrzestnego.

Bodajem był przed wyrzeczeniem słów: „i owszem" życie postradał.

We dwa dni później w owym brukowym świstku na czele numeru znalazłem wiadomość bieżącą.

Dotyczyła ona kradzieży popełnionej przez „Pasterkę z Wilanowa". Chodziło o to, iż Jagna Wiewiórkówna (w dramacie było Agnes Viviro) krowę powierzoną swojej pieczy (to było zgodne z oryginałem) sprzedała na Marjensztadzie (w oryginale Freistadt) handlującemu trzodą, (w oryginale bo-

gaty handlarz niewolników), niejakiemu Józefowi Millerowi, (w oryginale Giuseppe Melevi) i że pieniądze tą drogą osiągnięte przepiła z kochankiem Stanisławem Kozicą (w oryginale Sebastiano Corini). Redaktor dodał bezczelnie, „śledztwo w toku“, a przy tem, iż wiadomość pochodzi od korespondenta własnego z Wilanowa — i tu wymienił moje imię i nazwisko.

Następstwem czynu nieludzkiego, popełnionego przez redaktora „pisma stojącego zawsze na wysokości zadania i potrzeb chwili“ było:

1) Skarga sądowa mieszkańca osady Klucze Długie Ignacego Wiewióry przeciwko mnie o spotwarzenie jego córki Agnieszki, która nigdy, jako żywo pasterką w Wilanowie nie była i o której uczciwości zaświadczy cała gmina.

2) Dziewiętnaście skarg wytoczonych przez rozmaitych Józefów Millerów (jest ich znacznie więcej, lecz jednym dziennik nie wpadł w rękę, inni są niepiśmienni) o rozpuszczanie w druku kłamliwych i potwarczych wieści. z tych jedenastu oprócz karnej, wytacza mi akcję cywilną o odszkodowanie.

3) Skarga mieszkańca Pragi, Stanisława Kozicy, zduna, o zamącenie kłamliwemi wieściami jego stosunków małżeńskich (posiada żonę i dzieci).

4) Proces mieszkańca Wilanowa Piotra Antaby o przywłaszczenie przezemnie jego krowy, która rzeczywiście przed dwoma laty zginęła.

5) List redaktora dziennika wyrzucający mi podłość, gdyż wiadomość o krowie po kilkanaście razy na żądanie rozmaitych osób dopełniana, rzuciła (tak pisał) plamę na jego nieskazitelny organ.

Zanim zacznę „pełnić podsądność“ niniejszem poczuwam się do obowiązku rzucenia klątwy na redaktorów, którzy w poszukiwaniu „sensacji“ obdarliby z koszuli rodzoną matkę, jak również i do uronienia łez współczucia nad tymi wszystkimi amatorami, którzy zechcą marzyć o wystawieniu na scenie swoich sztuk dramatycznych.

Fr. Reinstein



Trzeba iść!..

Słonecznej mojej ciszy
nadszedł kres —
wezbrane niosę serce,
pełne łez!

Powiędły już kielichy
malw i róż,
spłakana idę cicho,
sadem wzdłuż —

Ponurość nieba wsącza
jezior toń,
łzy z oczu gradem lecą
na mą dłoń! —

Z drzew złoty już jesienią
prószy liść,
minęło modre lato,
trzeba iść! — —

M. Mayerowa

J. MORI.

Spotkanie.

Niebo szare, jednostajne, śnieg pada wielkiemi płatami, cicha melancholja zawisła nad ziemią.

Na podwórzu jednej z oddalonych ulic Warszawy — gwar — zajechało parę wozów z węglami, czarni, zabrudzeni ludzie znoszą je do piwnicy, zebrało się kilka sług na pogawędkę, dzieci lepią bałwany ze śniegu i hałasują. Nikt zrazu nie spostrzegł bladego, kulawego człowieka z katarynką na plecach — dopiero rytmiczne tony walca zwracają ogólną uwagę. Kobiety przysuwają się bliżej, przerywając głośne spory, malcy zaczynają się kręcić w kółko, z okien wychyla się parę otulonych w chusty twarzy.

Zziębnięty kataryniarz drżącemi rękoma kręci korbą — i płynie znana melodja „Nad pięknym modrym Dunajem...“

Wtem oczy wszystkich zwracają sie na jedną z wychudzonych, nędznych szkap węglarskich; już przy pierwszych dźwiękach muzyki nieszczęśliwe to z obdartemi bokami stworzenie zastrzygło niespokojnie jednem uchem, podniosło głowę i powoli, powoli zaczęło przebierać w takt nogami, dyszle przeszkadzały, lejce tamowały swobodę ruchów, a ono coraz to w szybszym tempie skacze na miejscu, usiłując pociągnąć wypróżniony już wóz.

Na krzyk jednego z chłopców: „o o... koń tańczy!.. — smutny, zbiedzony kataryniarz drgnął i wlepił błyszczące oczy w tę stronę; zrazu niedowierzanie, potem zdumienie odbiło się w jego przygasłych źrenicach, nagle rzucając katarynkę, podbiegł szybko, o ile mu kalectwo pozwalało, do wozu i krzyknął:

— Dżek! Dżek!. a potem dodał jeszcze kilka słów w języku, którego nikt z obecnych nie rozumiał.

Koń na dźwięk tego imienia zarżał zcicha, a wówczas blady człowiek objął ramionami jego szyję i szeptał jakieś słowa pełne bólu i rozpaczy.

Tłum zgromadził się koło tej dziwnej grupy, jedni o coś rozpytywali, drudzy robili uwagi, on nic nie widział, nic nie słyszał...

Obecna chwila przestała dlań istnieć, zniknęło ciasne ponure podwórze, zaciekawione trywialne twarze, sterty błota pod oknami — ujrzał natomiast wspaniały cyrk, oświetlony jaskrawo, wykwintną publiczność, szeregi artystów we frakach przed areną u wejścia i — siebie!.. Jakże on inaczej wówczas wyglądał! Przystojny, doskonale zbudowany mężczyzna, w obcisłem dżokiejskiem ubraniu, z miną lorda wjeżdżał na arenę, orkiestra grała marsza tryumfalnego, widzowie bili brawo. Zaczynały się popisy — bez najmniejszego wysiłku, zręcznie i szybko wykonywał swój numer. Mężczyźni klaskali z zapałem, kobiety pożerały go wzrokiem...

...I trwało to długo, bardzo długo... lat kilkanaście... powodzenie wciąż wzrastało, objechał wszystkie stolice europejskie, życie było jednym szeregiem owacyj, miłosnych bilecików, upojeń... Szalał... nie miał rodziny, nikogo bliskiego... pomimo ogromnej gaży — nic nie oszczędzał, złoto płynęło szeroką strugą...

A potem ta urocza, prześliczna Fanny, jeżdżąca z takim wdziękiem na Dżeku, na tym samym Dżeku... Kochał Fanny i kochał jej konia... Ileż to razy przychodził do stajni karmić cukrem i pieścić to piękne, rozumne zwierzę. Ileż ono słyszało ich przysiąg, szeptów, ileż widziało gorących pocałunków!..

A potem... potem... ta straszna, niepojęta katastrofa... ten wieczór fatalny, gdy wyniesiono go z areny z połamanemi nogami...

Gdy po kilku miesiącach ciężkiej choroby przyszedł cokolwiek do siebie — cyrk wyjechał, zostawiając mu kilkadziesiąt rubli zapomogi, Fanny

z Dżekiem zniknęła... został sam... sam jeden... Chciał pracować... nic jednak robić nie potrafił, nie nauczono go niczego, arena była jedynym żywiołem, w którym mógł egzystować.

Po długich, ciężkich walkach i borykaniach z losem—pogodzić się musiał z okropną rzeczywistością i został — podwórzowym artystą; katarynka stanowiła cały jego majątek.

I dziś, dziś trzeba nieszczęścia, że w tym biednym koniu poznał swego kolegę, świadka tryumfów i najszczęśliwszych chwil życia, zamierającego tak jak on w nędzy i opuszczeniu.

Z oczu nieszczęśliwego leciały gorące, wielkie łzy.

Brutalne dotknięcie oprzytomniło go nagle.

— Idźta już — mówił stróż, wskazując mu miotłą drogę — a to gospodarz się gniewa, hałasy z tem graniem i tylo!

Blady człowiek popatrzył nań, milcząc wziął katarynkę na plecy i odszedł zwolna, odwracając kilkakrotnie głowę; koń wodził za nim smutnemi, zamglonemi oczyma.

A śnieg padał wciąż wielkiemi srebrnemi płatami.

REDIVIVUS.

(Szkic piórkiem z natury)

nakreślił

STEFAN DUNIN.

Stacja Pogotowia. Godziny ranne, rozlega się alarm telefonu. Dyżurny lekarz przerywając czytanie „Porannego" spieszy do aparatu.

Przez telefon odbywa się następujący dyskurs.

— Pogotowie?

— Tak! Kto dzwoni?..

— To tu z apteki na ul. Miłej. Jakiś młody człowiek upadł na chodnik i leży.

— Dajcie mu wody, może zwykłe omdlenie...

— Próbowaliśmy wszystkich sposobów — on leży i nierusza się.

— Przyjeżdżamy.

W tej chwili lekarz Pogotowia odkłada mikrofon na widełki, podaje sygnał elektryczny do koszar, skąd po chwili dolatuje głośny alarm dzwonkowy. W sali zjawia się sanitarjusz i uchylając czapki mówi...

— Gotowe panie doktorze.

Lekarz sadowi się we wnętrzu karetki.

Otwierają się na rozcież wrota i wśród głośnego sygnału trąbkowego karetka pędem wybiega na ulicę.

Za karetą wybiega duża płowa suka, Sanitarjusze i lekarz główny — krzykiem starają się ją zatrzymać na stacji. Suka na krzyki nie zważa i poszczekując wesoło, pędzi za karetką.

*
* *

Ul. Miła. — Wśród mgły porannej spieszą rzesze ubogo ubranych żydów do warsztatów, z koszykami na targ i t. p.

Słońce jesienne z trudnością przedziera przez brudne szmaty mgły swe słabo żółte promienie, lśniące się w obślizgłych błotem czarnem płytach chodnika.

Na chodniku wśród lepkiego czarnego błota leży na rozpostartem brudnem, podziurawionem chałacie młody 20 letni wyrostek.

W tej chwili twarz jego oblewają jakieś żółto-zielone cienie — twarz nieruchoma przypomina twarz oblaną majestatem śmierci. Rozpięty na piersiach chałat stwierdza że jego leżący na chodniku właściciel poza chałatem żadnego stroju ani bielizny nie posiada.

Dookoła leżącego gromadzą się przechodnie.

— Co się gapicie — odzywa się gromkim głosem zbliżający się na widok zebranej garstki przechodniów — przedstawiciel porządku publicznego.

Tymczasem przedstawiciel władzy utorowawszy sobie dostęp do leżącego stanął u jego głowy.

— Takij to ten mierzawiec Gajgen-golc. Dlaczego wzywałeś Pogotowie — zwraca się do stróża.

Za nim jednak stróż zdołał usprawiedliwić się, że niewiedział jakoby leżący był Gajgengolc odzywa się na rogu ulicy sygnał zbliżającej się pędem karetki Pogotowia.

Na odgłos tych dźwięków, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, znikają żółto zielone trupie refleksy z twarzy leżącego.

Twarz ożywia się.

Leżący wstaje. Owija nagość swego obsypanego gęsią skórą ciała podartem chałatem—naciska swą pozbawioną daszka czapkę na głowie i siada na schodkach sąsiedniego sklepiku, drapiąc się pod pachami.

Ze stojącej już karetki wybiegł lekarz a za nim 2 sanitarjuszów, trzymając w ręce kufer z narzędziami i środkami opatrunkowemi.

— Gdzie chory pyta lekarz.

— Wot sidit — odpowiada przedstawiciel władzy, wskazując na siedzącego z głupkowatym uśmiechem młodzieńca.

— Ach to ty Gajgenholc — mówi lekarz — przecież Pogotowie tyle razy prosiło by do Gajgenholca niewzywać karetki.

Przedstawiciel władzy usprawiedliwia się, że to nie on, a stróż domu sam się rozporządził, stróż zaś twierdzi, że leżał taki bladziutki „że djabli go mogli wiedzieć", że to był jakiś Kleigenkolc, a chcąc złość swą wywrzeć za pomyłkę, trzonkiem trzymanej miotły pogroził siedzącemu.

Lekarz z uśmiechem na twarzy zbliża się do siedzącego, w oczach którego wśród mgły obłędu błąkają błyski radości.

— Gdzie tak długo siedziałeś.

Nieszczęśliwy z palców swych obu rąk robi kratę i zasłania nią sobie twarz.

Ruch ten zapewne ma oznaczać, że siedział w kozie albo w domu obłąkanych — po chwili z ust jego wypada kilka niezupełnie artykułowanych dźwięków, coś pośredniego między wyciem psa i krzykiem ludzkiem.

— Bili!

Kto? gdzie? kiedy? i za co? przemawiam musieli jednak silnie bić, bo w oczach jego maluje się paniczny strach, całe zaś osłonięte dziurawem chałatem ciało drży nerwowo.

Tymczasem lekarz pyta go się:

— A co, chce ci się jeść? i nie czekając odpowiedzi wyrywa z notesu kilka bonów do taniej kuchni.

Jak chmura wiosenna znika za podmuchem wiatru, tak wyraz strachu ginie z twarzy Gajgenholca, zostawiając miejsce radości. Mimo swego obłąkania nieszczęśliwy wie, że za te kartki dostanie łyżkę ciepłej strawy.

Lekarz z sanitarjuszami oddala się do karetki.

Po chwili słychać sygnał oddalającego się spiesznie Pogotowia. Przedstawiciel władzy zbliża się do Gajgenholca, który jednak nie czekając na niego wstał i szybko skierował się w ślad za odjeżdżającą karetką.

Na stacji Pogotowia po powrocie karetki do wchodzącego do sali dla zapisania w księdze wypadku odzywa się czytający obecnie z kolei „Porannego" lekarz:

— No, cóż kolego.?

— Nic. Icek Gajgenholc—redivivum, po trzech miesiącach dzisiaj znowu symulował na Miłej.

Rozmowę przerywa dzwonek telefonu.

— Czy Pogotowie?

— Tak, a co tam.

— Tutaj sklep kolonjalny na Dzikiej, przed drzwiami zachorował jakiś młody człowiek i leży.

— A czy człowiek ten nie jest młodym bez zarostu żydem? Czy nie leży on w rozpiętym chałacie na pi...

— Tak...

— No, to nieprzyjedziemy, bo to jest Icek Gajgenholc. Daj mu pan kilka groszy i powiedz mu pan, że karetka dopiero przyjechała od niego z ul. Miłej...

— Zrobiłem co pan doktór polecił Gajgenholc oprzytomniał i odszedł...

Warszawa, 9 czerwca 1908 r.

CIEŃ.

(Fragment).

Było to w nocy dziwnego szału i upojenia w bestjalnej rozkoszy, naszych zmęczonych i na wpół zwiędłych ciał. Wicher szalony chichotał spazmem obłąkańca i pędził gdzieś het w nieskończoną dal. A my, w wykwintnej komnacie na wysokiej skale wzniesionego zamku, siedzieliśmy skuci jedną myślą zapicia się na śmierć przy winie, wydobytem z pieśnią pokrytych i ciemnych piwnic. — Było nas nie wielu — trzynastu przy stole.

Do komnaty naszej wiodły tylko jedne, tajemnicze, przyodziane przecudną robotą najsławniejszego artysty drzwi. Byliśmy weseli, bardzo weseli, radowaliśmy się jednak tylko tak, jak radować się może ten, który jedną nogą stanął na progu życia, a drugą składa na próg śmierci. Czarne kotary, zwieszające się w ciemnej komnacie zasłaniały nam widok blasku księżyca, co łamał się w tysiącznych barwach tam, w przyległym do zamku stawie, kryły przed nami ten mglisty odblask gwiazd i kręte linje bezludnych i pustych ulic, ale ukryć i przytłumić nie zdołały pamięci o tem, iż za murami naszego zamku śmierć rozpościera swe czarno-białe skrzydlate ramiona i bierze w serdeczne uściski tych, których zapragnie.

Jakaś martwa, oporna ociężałość zawisła nad nami. Przytłaczała nam członki—rozsiadła się na sprzętach komnaty — pełzała po kielichach i puharach, z których piliśmy wino. I wszystko uginało się pod ciężarem tej przygnębiającej, zabójczej niemal atmosfery, prócz trzynastu lamp, które poczęły płonąć nad naszemi biesiadnemi głowami. I biły światła tych lamp długiemi, cienkiemi, blademi smugami, a w hebanowem zwierciadle stołu każdy z nas widział swe blade, wystraszone oblicze. Mimo to śmieliśmy się na swój sposób, śpiewaliśmy pieśni Anakreonta, pełne szału i rozpętania i piliśmy dużo, choć czerwone wino przypominało nam krew. Ale zwolna pieśni

gasnąć poczęły na naszych ustach, a echo ich, ginąc w czarnych zwojach kotar, słabło coraz bardziej, aż wreszcie skonało w oddali.

Naraz z tych ciemnych opon, w których zamilkły tony pieśni, wyłonił się mroczny, niewyraźny cień: a nie był to ani cień człowieka, ani cień Boga — ani żadnej znanej ludziom rzeczy. Chwiał się przez chwilę w zwojach kotar, a potem stanął tuż przed nami. Nie posuwał się, nie ozwał się ani jednem słowem, lecz stał i stał nieporuszenie.

I nikt z nas trzynastu nie śmiał spojrzeć w tą stronę, chociaż wszyscy widzieliśmy, jak wynurzał się z mroku. W końcu jednak jeden z nas, którego Oinosem zwano, zapytał cienia o jego miano i ojczyznę.

A cień rzekł na to potężnym głosem: „Jestem cieniem nędzy—ojczyzną moją są te rozliczne sutereny — te szerokie pola — te dymiące i buchające ogniem fabryki. Staję przed wami, aby waszą rozpustę zmódz“...

I nagle porwaliśmy się wszyscy—a trzynastu nas było—z naszych siedzeń i staliśmy długo, przejęci lękiem grozy, albowiem głos cienia nie był głosem jednej istoty, lecz całego tłumu, całych tych mas, konających z braku chleba gdzieś na bruku pod odrapaną knajpą naszych miast....

L. Przybyszewski

NOCE WENECKIE.

Canzone d'amore.

Ona — „fioraia“; on — młody marynarz.

Na „piazzy“ widzieć ją można co wieczora, z koszykiem kwiatów w ręku, wiecznie uśmiechnięta, wdzięcząca się do każdego, kto za dziesięć „centisimi“ kupi goździk do butonierki, z drugie dziesięć wciśnie jako naddatek do nadstawionej rączki. Piękna „fioraia“, kwiaciarka z „piazzy“. Któż jej nie zna? Kogoż błysk jej roześmianych oczu nie przeniknął?

Spotkałem ją na „Rio della Pieta“ około północy. Całkiem inna! Tam w rozgwarze tłumów, rozchichotana i rozflirtowana ulubienica siwowłosych próżniaków i pozłacanych młodzików — tu dziecię ludu, Wenecjanka. Barki okrywa czarna chustka. Gęste pukle włosów pokrywają czoło. Twarz o tonie ciemnym, gorącym, ma ten nieporównany owal weneckiej dziewczyny, któregobyś na próżno na całym szukał świecie.

Przed nią stoi młody chłopak w białym stroju marynarza. Jej, „fioraii“, której przez dzień setki kwiatów przez ręce się przewijają, podaje on teraz różę, ciemną, pąsową różę.

Na wązkiej uliczce pusto. Staję opodal w cieniu.

— „Cara mia“... słyszę szeptem wypowiedziane słowa — „ardo d'amor per voi!“

Ona ujęła palcami końce chustki — róży nie przyjęła.

— „Fiori amorosi... rose“... dolatuje mnie szept. Chwila milczenia. Nagle cichy śpiew... Rękę położył na piersi, drugą zsunął z czoła czapkę i pochyliwszy się nieco wprzód począł:

„Un bel mattino del maggio discese nel suo giardino...“

I nucił o pięknym poranku majowym, o ogrodzie skąpanem w świetle, o upojnej woni łąk, o kobiercach kwiatów...

Z pod chustki czarnej wysuwała się powoli ręka „fioraii...“ on swoją naprzód pochylił... i pąsowa róża znalazła się między obiema rękami...

Wtedy on na cały głos zaśpiewał:

„Se tu sapessi, mio bel tresoro,
Con quanta forsa che mi te adoro...“

Czarne głębokie oczy Wenecjanki rozbłysły. Wszak śpiewał: „Gdybyś ty wiedziala, mój piękny skarbie z jaką siłą cię miłuję...“

Jasny głos marynarza rozlegał się coraz głośniej. Drgał uczuciem i przepojony był żarem. Ostatnie tony pieśni spotęgowały się do najsilniejszego fortissime.

Znowu chwila milczenia. Oba cienie: ciemna sylweta „fioraii“ i biały strój marynarza spływają w jedno. Objął jej kibić i wolnym krokiem się posuwając szepnął: „Imploro te, dolce mia...“

Na jednej z czarnych przecznic zniknęli mi z oczu...

Bertold Merwin.





Nim kwiat ostatni zerwie wichr jesieni...

Stulistne róże konają w purpurze —
Krasa jesieni — chryzantemy — astry
Balkonu białe obwiły pilastry —
K'słońcu wzdychając — samotni mej stróże — —

Ach — zanim zerwą ostatni kwiat burze —
Pragnę twych piersi chłonąć alabastry —
Piersi przesłodkich — jako miodu plastry —
I ust pić boskie purpurowe kruże — —

Niechaj upojnie wonieją nam róże — —
Obejmij — Przytul — — Wśród bogów pieszczoty
Niechaj mnie spalą twych ramion oploty — —

A później — niech grzmią jesienne złe burze —
Wszystko mi jedno — gdy krwawej tęsknoty
Prześni się cudny — sen prześni się złoty — — —

Bolesław Herbaczewski

Warsz. Tow. Akc. Handlu Towarami Aptecznymi

dawniej

Zjedn. Aptekarze i LUDWIK SPIESS i SYN

POLECA:

Świeże trany lecznicze.
Prawdziwe kakao holenderskie we własnem opakowaniu.
Octy naturalne stołowe i do marynat.
Oliwę Nicejską, Oliwę do palenia.
Perfumy i kosmetyki krajowe i zagraniczne.
Farby olejne, Lakiery i Zaprawy do podłóg.
Najlepszą Ultramarynę do bielizny.
Krochmal pszenny i ryżowy.



Najlepsze palniki inwertowe do gazu

całe z porcelany „NON-OXYD"

nie czerniejące jak mosiężne

Główny skład **HUGON FRIED** Hr. Berga 8

Telefonu № 14-71.

Żądać we wszystkich biurach oświetleń.

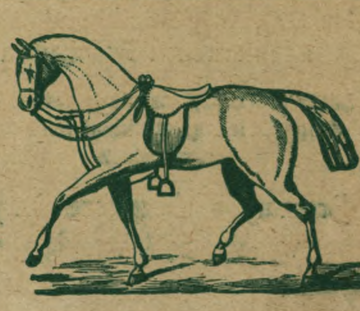
Egzystująca od 1860 r.

Fabryka Wyrobów Rymarskich

I SIODLARSKICH

J. KUCZMIEROWSKI

Warszawa, Marszałkowska 108, róg Chmielnej.



Poleca: Siodła, zaprzęgi, kufry, walizy, nesessery; wielki wybór galanterji skórzanej i Albumów ozdobnych.

Wielki wybór! **Ceny niskie!**